

O nie, serial nie!

Maciej Sztaberek: - Podobno chciał pan zostać oficerem, potem pilotem, księdzem, muzykiem, w końcu zdecydował się pan na aktorstwo. Co sprawiło, że zrozumiał pan, że to w tym zawodzie się spełni?

Wojciech Pszoniak: - Myślę, że każdy to mniej więcej wie. Chyba że nie szuka. Ja szukałem drogi w życiu i próbowałem prawie wszystkiego. W pewnym momencie pojawiła się intuicja, przeczucie - że aktorstwo to jest właśnie to. Zapisalem się do teatru amatorskiego, a potem do studenckiego. Można powiedzieć, że to standardowa droga, jaką powinien przejść aktor.

Mówił pan kiedyś o „otwieraniu głowy” aktora przez reżysera, zamiast „grania” rozumianego jako mechaniczne odtwarzanie. Co pan przez to rozumie?

- Wszystko zależy od tego, jacy są aktor i reżyser, i jakie wymagania ma aktor. Ja oczekuję od reżysera, że nie będzie mnie musztrował i kazał mi wykonywać jakichś czynności, tylko że potraktuje mnie jako współtwórcę. Spektakl jest dziełem wspólnym. Są oczywiście reżyserzy dyktatorzy, którzy nie uznają żadnej ingerencji aktorów, ale ja bym w takim teatrze nie chciał być i do tej pory to na szczęście mi się udało.

Wspomniał pan również, że w Polsce panuje „moda” na uprzedmiotowienie aktora. Czy właśnie do tego zjawiska nawiązuje pan, mówiąc o reżyserach dyktatorach?

- Teraz, w epoce seriali i telewizji, zmieniło się podejście do pewnych spraw. Moim zdaniem, nie każdy, kto występuje na ekranie, jest aktorem. Mówi się dziś o „aktorach serialowych”. Nie ma czegoś takiego, jak „aktorstwo serialowe”. Jest albo dobry aktor, albo zły aktor! W serialu mogą grać amatorzy, każdy wzięty z ulicy. W związku z tym wszystko jest pomyłone. Każdy może być pisarzem czy premierem. Wszystko każdy może. Na tym polega kompletna zmiana wartości i punktów odniesienia.

Wpłynął na to głównie rozwój telewizji?

- Aktorstwo bywa prawdziwe, ale tylko w teatrze. Oczywiście istniało też u Bergmana, Felliniego i jeszcze kilku innych reżyserów-artystów. Ale coraz mniej jest dziś artystów. Dziś są ludzie, którzy muszą zrobić film, aby „zdobyć kasę”. A jak nie ma „kasy”, to dzieło jest nieuznane i tak to wygląda.

Ale sam pan zagrał w serialu „Dziecko Rosemary” produkowanym przez Netflix.

- Tak, u Agnieszki Holland. Wie pan, to był taki przyjacielski gest, nieduża rola. Nic szczególnego. Wspominam to bardzo miło. Zdjęcia kręcono niedaleko miejsca, gdzie mieszkam. Ale to był żart, taki przerywnik w moim życiu artystycznym.

Które z pierwszych ról teatralnych były dla pana ważne, ukształtowały pana myślenie o teatrze?

- Nie mam takich ról. One kształtują raczej widza niż aktora, obraz mojej kreacji u widza. To jest po prostu długi proces, z dnia na dzień niczego pan nie osiągnie w żadnej sztuce. I albo się aktor rozwija, albo nie. Tak więc ja nie mam takiej roli, żeby panu powiedzieć, „a w tej roli to ja zmieniłem swój stosunek do aktorstwa”.

Dalszy ciąg wywiadu można znaleźć w grudniowym "Kalejdoskopie" - do kupienia w Łódzkim Domu Kultury, punktach Ruchu S.A. , Kolportera, Garmond-Press i salonach empik. A także w prenumeracie (w opcji darmowa dostawa do wybranego kiosku Ruchu):

https://prenumerata.ruch.com.pl/prenumerata-kalejdoskop-magazyn-kulturalny-lodzi-i-wojewodztwa-lodzkiego?fbclid=IwAR0CJwQi1fl7y-1av7GdZlwB82ZmKdxZmMSeF9uNO1G6RKt-b4HEX_KIB8o